

Cisza. Kiedyś jej nie doceniała i zawsze w pracy śpiewała, gwizdała, lubiła też gwar domu i zagrody. Ale teraz ten absolutny brak dźwięków był prawdziwym wybawieniem dla jej skołataney duszy, codziennie nadwerężanej hukiem eksplozji i krzykiem wydawanych przez siebie rozkazów.

Cisza.

Tylko szum wiatru, stłumiony przez grubą warstwę śniegu. Prószyło jeszcze bardziej niż wczoraj, oddzielając ją od świata. Nigdzie nie było słychać nawet dalekich huków artylerii, najwidoczniej obie strony już dość nahałasowały się dzisiaj.

Znajdowała się w tajdze, pośród wysokich aż do samych chmur daglezji i świerków. Tutaj śniegu było mniej, ale był tak twardy, że mogła po nim chodzić jak po skale i się nie zapadać. Teraz stała i wsłuchiwała się w ciszę, każdą kolejną chwilę traktując jak przedłużającą się gorącą, kojącą kąpiel. Po raz ostatni taką miała jeszcze w Ponyville, a to było kiedy? Jeszcze w marcu, a więc osiem miesięcy temu. Bała się wyobrazić własny zapach i dziękowała matce naturze, że kucyki tak łatwo uodparniają się na osobisty smród niemytego ciała.

Cisza.

Twilight jej kiedyś powiedziała, że tylko w ciszy może rozwijać się myśl. Takie wzniosłe frazesy były obce farmerce, ale teraz rozumiała to jak nigdy indziej. W tym spokoju jej umysł nie tyle skakał od zagadnienia do zagadnienia, goniąc za własnym ogonem, a spokojnie i majestatycznie płynął, konsekwentnie rozwijając żagle. Uśmiechnęła się, dumna z tak poetyckiego określenia, które przyszło jej do głowy.

- Pani sierżant?

Ocknęła się i spojrzała na rudego, który stał obok. Istotnie, ziemski kucyk miał rude włosy, lecz poza tym mógł wyróżniać się co najwyżej wiecznymi worami pod oczami, które ku zaskoczeniu wszystkich były naturalne, a nie makijażem. W każdej klasie był jakiś „długi”, jakiś „rudy” i jakiś „gruby”, choć grubych i długich było raczej niewielu, gdyż kucyki cechowała wysoka jednolitość kształtów ciał. Jednak wystarczyło mieć w kłębie centymetr więcej od konkurencji, aby zasłużyć sobie na przezwisko. I tak w „klasie”, a raczej kompanii Applejack był jeden etatowy, przydziałowy rudy.

- Tak? Co się stało? – spytała, poprawiając nakarczek swej czapki. Ferdyjskie patrolówki miała pożyteczny, składany nakarczek lub kołnierz, który zapinało się na pojedynczy guzik nad czołem. W razie potrzeby dało się rozpuścić materiał i zapiąć pod brodą, aby osłonić od chłodu wrażliwe policzki, kark i szyję. Poniżej zapięcia, na kołnierzu bluzy wyszyła sobie trzy żółte jabłuszka w regulaminowo dozwolonym miejscu, ponad różowymi patkami grenadiera pancernego. Po aferze z buntem Purerace’a stwierdziła, że jednak musi mieć na sobie coś, co będzie ją wyróżniało. Dlatego poprosiła bardziej uzdolnioną krawiecko koleżankę o sześć małych, wyblakłych jabłuszek.

-To chyba Silver Wing – stwierdził rudy wskazując na lecącego nisko, przy samej ziemi pegaza.
– Wraca z rekonesansu.

Srebrnoskrzydły wylądował tuż obok niej i od razu zdał meldunek:

- Nigdzie nie widziałem śladów. Ani jednego tropu.

- Cwaniaki, muszą mieć wśród siebie jakiegoś weterana – stwierdziła pomarańczowa klacz. – Kogoś, kto wie, że tutejszy śnieg tworzy długie ścieżki, które są tak twarde, że nie zostawia się śladów. Widzicie, ja teraz też stoję na takiej zmrożonej bryle. Pomimo swej masy i

tych wszystkich kłopotów nie zapadam się.

- A może to pegazy? – spytała Katerina, posiadająca tę swoją schematyczną rybę na boku. – Jak poleciecieli jak Silver Wing, to możemy im soli na ogony nasypać.

- W ogóle, to po co tam się pchamy? – spytała Corrie, wyjątkowo wysoka, mlecznobiała klacz jednorożca, której znaczkiem był łuk z napiętą cięciwą. Silver Wing to był chyba ten pegaz, którego Langeschwanz chciał opleść drutem kolczastym za oszukiwanie w trakcie kręcenie orbit. Teraz widziała, że ten czarnogrzywy, szary ogier był całkiem sympatyczny, choć jego nonszalancja ją irytowała. Jak kazała mu paść na ziemię, to najpierw jakby zastanawiał się, czy mu się chce. Dopiero po trzecim bolesnym trąceniu w ucho nauczył się, że jak dowódca wydaje rozkaz, to najpierw się go wykonuje, a dopiero potem myśli.

Westchnęła. Będzie musiała tym młokosom jeszcze tyle wyjaśnić. Wzięła na patrol siódmkę mało jej znanych żółtodziobów oraz Greenhorna, któremu już trochę ufała. Misja nie była niebezpieczna ani kluczowa, więc stanowiła świetną okazję, aby sprawdzić te dzieci w boju.

Ścigali sombryjski patrol rozpoznawczy, który rano zinfiltrował ich pozycje. Jednak po trzech godzinach tropienia nadal nie widzieli wroga, który umiejętnie zacierał ślady i kluczył po twardym śniegu lub wyszukiwał nie przykrytych puchem skał.

- Był tam przynajmniej jeden ziemski kucyk, on nie odleciał. – odparła. – Widziałam odcisk podkowy, a żaden jednorożec nie wytrzymałby podkuwania. Pegaz tym bardziej. Musimy ich znaleźć i załatwić, gdyż te zgniłe ulęgałki rozpoznały nasze pozycje! Jak dotrą do swoich, to mamy przechlapane jak robak w jabłku w piekarniku.

- Ale jak ich załatwimy? – zadrżał Greenhorn, czym zirytował farmerkę. Tyle razy mu powtarzała, że jest silny, silniejszy nawet od niej. Już cały tydzień! Do noszonej na grzbiecie emgiety się przyzwyczaił, ale odwagi w nim nadal przykro brakowało.

- Ile najwięcej widzieliśmy tropów? Pięć! A nas jest ósemka z cekaemem.

- A oni nie mają cekaemu?

- Mają... – przypomniała sobie miejsce, w którym jeden z czerwoców najwidoczniej się potknął, gdyż zarył głęboko w miękkim śniegu. Odbił też przy okazji okrągły magazynek Diekatariewa, zdradzając, że posiadali taki sprzęt.

- Pani sierżant, wracajmy! – zajęczała Corrie, a Applejack zachnęła się.

- Oni właśnie tego od nas oczekują. Zresztą, skąd wiesz, że właśnie teraz na nas nie patrzą, aby nam strzelić w plecy, jak odejdziemy? Nie! Póki to my atakujemy, a oni uciekają, to oni są zmuszeni do ostrożności.

Wiedziała, że to nieprawda i być może ładuje siebie i swoich żołnierzy w pułapkę. Musiała jednak powiedzieć coś takiego orzeźwiającego. Tamten patrol musiał zginąć, nie było ku temu żadnych wątpliwości. I ona go dopadnie!

Dlatego zarządziła wznowienie wędrówki. Przywołała trzy kucyki, które przed chwilą tworzyły obronę okrężną i kazała uformować kolumnę. Na szpicy szły dwie klacze, mniejsze i dyskretniejsze. Dalej było dwadzieścia metrów przerwy, dość, aby usłyszeć ostrzegawcze syknięcie i dostrzec gest ogona, przekazujący komunikat. Applejack długo w ich głowy ładowała te podstawowe meldunki ogonowe. Podniesienie ogona – stop! Pojedynczy obrót – padnij! Długie kręcenie – szybko do mnie! Kucyk idący na awangardzie sił głównym musiał bacznie obserwować, co komunikują czujki.

Szli kolejne pół godziny, zatem pościg trwał już czwartą godzinę. Tajga w tym miejscu była szeroka i póki co niezajęta przez żadną ze stron. Drzewa rosły w wielu miejscach zbyt gęsto, aby dało się przejechać czołgami bez robienia spustoszenia, a równocześnie piechota trochę nie miała czego tutaj szukać. Zbyt twarda do okopania się ziemia odstrasza wszystkich, tak jak bagna były nieatrakcyjne latem.

Nagle ogon wzniosł się do góry. Wszyscy stanęli w pół kroku i tylko Greenhorn wpadł na Applejack, prawie zwalając ją swoją masą z nóg. Syknęła karcąco i natychmiast wróciła do obserwacji zwiadowców. Ci naradzali się szeptem między sobą, a potem jeden z nich zerknął na swego dowódcę i machnął ogonem w geście „jeden do mnie”, wyginając go w specyficzny łuk. Applejack podbiegła do niego i zobaczyła coś, co zatrzymało kolumnę.

Nowy ślad.

Spod rozłożystej jodły wychodził podwójny trop dwóch kucyków. Musiały w schronieniu spędzić noc, gdyż padający śnieg zakrył tropy prowadzące do drzewa. Jednak nie to było najdziwniejsze. Bardziej szokował rozmiarów odcisków.

-Dzieci? – spytała Applejack szeptem. – Skąd się tutaj wzięły? Wszystkie osady w okolicy miasta zostały ewakuowane, a z miasta nikt nie miał prawa tutaj przybyć.

- I to dwójka, sarge! To dziwne! Co robimy?

- Trzeba im pomóc! – zapiszczała Katerina chowając pod siebie brązowy ogon i podciągając opaskę z czerwonym krzyżem na ramieniu – One zginą tutaj na mrozie, zjedzą je wilki albo Sombryjczycy!

- Kucyki nie jedzą kucyków, idiotko! – skarciła ją Corrie, ale Applejack uciszyła dysputę podniesieniem kopyta.

Kłóciły się w niej dwa stronnictwa. Pierwsze nakazywało kontynuować marsz i wykonać zadanie, tak czy siak całkiem ważne dla frontu. Drugie zmuszało do ruszenia na ratunek cywilom, co przysięgała robić przed samą Celestią. To też było jej zadanie. Równocześnie odzywał się trzeci głos, zwykła nuta serdeczności i miłości, którą posiadała każda kłacz. Po prostu czuła żal z powodu losu bezbronnych dzieci, zapewne sierot, które tutaj pojawiły się z nieznanego powodu. Autentycznie, spotkanie z Sombryjczykami mogło się dla nich źle skończyć. O ile raczej by ich nie zjedli, to mogliby się okrutnie zabawić, a to przerażało ją na samą myśl.

Równocześnie odniosła wrażenie, że pościg staje się bezużyteczny. Trzeba było spojrzeć w twarz porażce i tyle. Z niej był żaden myśliwy, w końcu wychowała się na farmie, a nie w lesie. Kucyki rzadko polowały, a ona była groteskowym przeciwieństwem łowcy. Nic zatem dziwnego, że jej umknęli.

-Poszukamy tych dzieci! – zarządziła i natychmiast jej ulżyło. Podjęcie decyzji, nawet złej, było zawsze nieskończenie lepsze od wahania się. Wznowili marsz, ale zmienili kierunek i poszli po nowych, małych śladach. Zmienili też taktykę. Owszem, nadal pozostawali czujni, ale tym razem szukali czegoś innego, co raczej nie chciało ich zabić.

Oby.

Szli dalej, skrzypiąc kopytami w śniegu i prychając okazjnie, zdmuchując biel z nozdrzy. Jednakże tropy już po stu metrach wycięły im kolejny numer i znikły.

-Albo nasze źrebaczki dostały skrzydełek i zmieniły się w pierzaste pegaziatka, albo... – Applejack dotknęła śniegu krok przed sobą. – albo znowu mamy do czynienia z tym twardym cholerstwem. Obrona okrężna! Szeregowa Corrie, do mnie!

Ponownie obejrzała niepospolicie rośl i muskularną klacz. Wiśniowe włosy i mleczna cera tworzyły jedną z tych szlacheckich umaszczeń, jednak o ile było jej wiadomo, podwładna nie miała takiego pochodzenia. Na nosie widniały malutkie, słodkie dla oka piegi, a na policzku czerwona blizna. Klacz budziła zaufanie u Applejack. Kojarzyła ją skądś, może nawet przez pewien czas mieszkała w Ponyville i kupowała od niej coś na targu. Może tak, może nie. Życie w rodzinnych stronach coraz bardziej zacierało się w pamięci farmerki, co było równie bolesne, co otwarta rana postrzałowa. Zamiast szczęśliwych dni spędzonych pośród jabłoni, jej umysł wołał oglądać trupy, eksplozje i wraki. Wspaniale!

Kilkakrotnie spróbowała poprosić Corrie o jakieś zaklęcia, na przykład rozpalenie ognia, ale klacz wciąż się wykręcała mówiąc, że nie jest w nastroju, że róg ją boli i w ogóle nie powinna czarować bo cierpi na potworne migreny od tego. O ile Applejack widziała u Rarity i Twilight różne stany nastrojów, szczególnie u projektantki, to nigdy nie słyszała o bolących rogach czy migrenach biorących się z magii. Wolła jednak nie wnikać. Mogła tylko patrzeć prosto w niebieskie oczy i mieć nadzieję, że Corrie zdradzi swą moc, kiedy będzie im zagrażało niebezpieczeństwo. W końcu nieczarujący jednorożec zdawał się być lekko bezużyteczny.

- Powiedz mi, jodełko, co powinniśmy teraz zrobić?

Określenie „jodełka” jednoznacznie podkreślało wzrost dziewczyny, ta jednak nie mogła się obrazić za coś tak nieszkodliwego. Popatrzyła na ślady, potem na Applejack, a na końcu w górę i odrzekła:

- Ja to bym posłała Silver Winga w górę, aby się rozejrzał.

- Wiesz, że tak byś straciła kolegę w ciągu pięciu sekund?

Niebieskooka dziewczyna spojrzała na pomarańczową klacz dziko zdumiona.

- Ale...

- Pegaz w powietrzu to piękny cel dla snajpera, taki na poprawę humoru. Tak jak jedno, ostatnie czerwone jabłko na drzewie świeci z dwóch kilometrów swoją skórą, tak samo samotny pegaz na niebie to rzecz zbyt soczysta, aby go nie zastrzelić. Na początku wojny obie strony bezmyślnie wysyłały w górę pegazy i równie szybko z tego zrezygnowały. Nie, to jest zła odpowiedź.

Applejack stanęła na tylnych nogach i bez trudu utrzymała równowagę, czym wzbudziła zachwyt drużyny. Nie o to jej jednak chodziło, wrodzona skromność absolutnie nie pozwalała jej pożądać oklasku. Po prostu na tej wysokości było świeższe powietrze. Zaczęła węszyć, a potem nasłuchiwać. Trwała tak przez dobre trzy minuty, otoczona przez przykucniętych pod świerkami żołnierzy. Zaczęli się niecierpliwić, kiedy zatrzymała uchem i wskazała jakiś kierunek. Kazała im jednak zostać na miejscach i zabrała ze sobą jedynie Katerinę, która przecież była sanitariuszką. Przeszły dwadzieścia metrów i dotarli pod ogromną i stojącą samotnie jodeł, której rozłożyste gałęzie tworzyły przestronny szałas przy ziemi. Tutaj widniało kilka małych wgłębień w śniegu, uczynionych przez malutką postać. Wchodziły do środka dwie czwórki kopyt, ale wychodziła tylko jedna. Ze środka dobiegało głośnie dzwonienie zębów, które

przywiodło tutaj sierżanta.

Applejack wstrzymując oddech uchyliła gałąź i znalazła się prosto przed parą ogromnych, grafitowych oczu z wielokątnymi refleksami. Katerina głośno nabrała powietrza, a Applejack uśmiechnęła się serdecznie. A przynajmniej miała nadzieję, że to jeszcze potrafi.

- Kim jesteś, maleństwo? – spytała jak najcieplej. Szary kształt z brązowymi włosami zaczesanymi na loki i grzywkę z przodu zadrżał. Nie miał znaczka, a długie rzęsy i ostry nos jasno określał płeć dziecka. Do tego jego skóra leciutko promieniała, jednak była jakby przegaszona. Najwidoczniej było zziębnięte i słabe.

- Jesteście ci dobzi ci ci źli? – zapiszczało stworzenie, a Applejack równocześnie rozczuliła się i zmartwiła, przybierając głupią minę.

- Chcę ciebie zabrać do mamy. To jestem dobra, nie? – zapytała, a dziewczynka przez chwilę pomyślała i odbiła piłkę:

-A gdzie jest mama?

-Pewnie gdzieś w mieście i bardzo za tobą tęskni. Choć ze mną, zaprowadzę ciebie. Zobaczysz też księżniczkę Cadance! Na pewno ją lubisz. Wszyscy ją kochają.

- Lubię księżniczkę... ale chcę do mamy.

- Najpierw choć do mnie – rozchyliła płaszcz, spod którego buchnęła para. Dziewczynka zrobiła krok do przodu, ale potem cofnęła się przestraszona. Nie miała wciąż zaufania do żołnierzy z bronią. Applejack zdała sobie z tego sprawę i odłożyła MP 40 na twardy jak skała śnieg.

- Widzisz? Nie zrobię ci krzywdy. A to jest Katerina. Jest lekarzem.

- Nie jestem chora.

- Nie będziesz, jak przyjdiesz się przytulić.

Dziewczynka chyba podjęła w końcu decyzję, bo powoli i ostrożnie zbliżyła się do Applejack i pozwoliła się zagarnąć połą płaszcz. Farmerka zadrżała, gdyż dziecko było lodowate. Jeszcze trochę i zapewne umarłoby z wychłodzenia. Pocałowała ją w policzek i mocno przytuliła. O mało sama nie zaczęła dygotać od wibracji.

- A cio z moją siołsycką? – zapytała dziewczynka, kiedy odwrócili się, aby wrócić do swoich. No tak, zapomnieli, że tropy były dwa i ten drugi prowadził prosto w kierunku Sombryjczyków. Applejack westchnęła. Serce ją ścisnęło, ale wiedziała, że to samobójstwo. Iść na wroga mają na grzbiecie żrebaka... aby zgubić siebie i jego. To było szaleństwo!

-Masz rację, idziemy po nią – zdecydowała, patrząc na wielokątne refleksy w źrenicach.

Przywołała drużynę, a ta stanęła jak wryta na widok małej klaczki. Gapili się na nią, wbijając spojrzenia w spojówki i szepecząc do siebie zdziwione uwagi.

No tak... oni nigdy nie widzieli kryształowego kucyka. W innych okolicznościach Applejack pozwoliłaby im zadawać pytania, ale teraz należało się pośpieszyć. Druga dziewczynka mogła w każdej chwili natknąć się na czerwoców i zginąć albo stracić cnotę, co byłoby niewybaczalną klęską dnia dzisiejszego.

- Jak ona ma zbudowane rogówki? – spytał rudy, a Applejack fuknęła.

- Nie czas na pytania! Idziemy!

Zrzuciła z siebie płaszcz, owinęła nim dziecko i załadowała sobie na grzbiet. Dziewczynka była całkowicie bierna, tylko wytrzeszczała ogromne, przerażone oczy. Musiała być naprawdę zmęczona, skoro nawet nie pisnęła, kiedy Applejack wzięła ją zębami za kark i zarzuciła na górę. Dała jej wody i kawałek czekolady, którą zachomikowała na wieczór. Jeśli

dziecko nie jadło od paru dni, to nie mogła dać mu od razu normalnej konserwy, gdyż to mogłoby rozerwać małej żołądek. Doskonale pamiętała swoje perypetie z Apple Bloom i jej niemowlęcymi problemami. Woląta tego nie powtórzyć.

- Ona jest taka duża jak ja! – powiedziała nagle dziewczynka, kiedy szli po drobnych śladach. – Ale ma już znaczek. Krenelaś, jak jej imię, czyli Crenelage.

Applejack nie wiedziała, co to jest „krenelaś”, więc zapytała o coś innego:

- A jak ty się nazywasz? Ja jestem Applejack. Applejack to bardzo dobry napój, ale mocny. Nie dla dzieci.

- Hightower. Mam jeszcze dużego braciszka Longwalla, ale nie wiem gdzie on jest. Chyba został w mieście. Nie wiem, gdzie się wszyscy. Mama, tata... byli tam, ale ich nie ma.

- Gdzie byli? Pod drzewem? – zainteresowała się Applejack, ostrożnie przeskakując przez zwalony pień.

- Nie. Byli w chacie, a potem poszli. Więc i my poszliśmy ich szukać, a potem chcieliśmy wrócić. I nie wyszło, zgubiliśmy się.

- Jakiej chacie?

- O tej, tam!

Uniosła głowę i ujrzała, że tropy prowadziły prosto do drewnianej szopy, którą w przypiływie litości można było faktycznie nazwać chatą. Była to jakaś półziemianka z dobudowanym parterem, niskimi oknami i walącym się dachem. Wszystko miało zielonkawy odcień porostów, które tu i ówdzie przebijały się przez warstwę śniegu. Obok niegdyś znajdował się składzik, ale konstrukcja zapadła się niczym mokry karton. Tylko drzwi wyglądały w miarę solidnie, najwidoczniej ktoś je niedawno wymienił. W innych okolicznościach, byłoby to całkiem urokliwe miejsce.

Applejack już wszystko wiedziała. Jakaś rodzina chciała ukryć się przed wojną w lesie, licząc na to, że gdy miasto zostanie zniszczone, a oni uchowają się gdzieś na boku. Nie przewidzieli, że front dojdzie aż tutaj, na wskroś przez gęsty las. Pewnie skończyła się żywność i poszli „tylko na chwilę”, zostawiając dzieci w domu. A potem się zaczęło.

Obawiała się, że przyszli za późno. Takie miejsce idealnie nadawało się na zasadzkę, gdyż zbyt kusilo. Chciała sprawdzić, czy dookoła domu są wydeptane ślady, kiedy rudy idący teraz na szpicy wpadł na ten sam pomysł.

- Stać! – warknęła, ale było za późno. Nagle w oknie domku zabłyśł ogień, a ze środka wypadła seria. Ogier wrzasnął i padł płasko na śnieg. Applejack nie miała czasu sprawdzać, czy dostał.

- Cekaem pod drzewo! – krzyknęła i kopnęła Greenhorna w tyłek. – Pegaz! Poleć szybko dookoła i wejdź im w dupę! Reszta rozszerzyć się i otoczyć! Ale nisko! Nisko! Walcie po oknach, nie dajcie im wychylić nosa! No jazda!

Jej żołnierze dość powoli z pełnym przerażeniem rozwinęli się w krzywy łuk. Silver Wing pomimo ponagień wcale nie poleciał do tyłu zbyt szybko i skakał od drzewa do drzewa.

- Tam jest moja siostrzycka! – zapiszczała Hightower. – Oni ją mają! Ci są źli?

- Oby nie! – szepnęła Applejack, tuląc do piersi dziewczynkę. Powinna ruszyć do przodu i podjąć walkę, ale nie mogła zostawić małej sam na sam ze strachem i emocjami. I tak dobrze, że się nie rozplakała.

Silver Wing został dostrzeżony i z innego okna też padła krótka seria, tym razem z

pepeszy, sądząc po wysokiej szybkostrzelności. Co jakiś czas rozlegał się też suchy strzał z Mosina. Chłopak krzyknął parę razy ze strachu i poleciał pionowo w górę, po czym zniknął im z oczu w koronach drzew. Dom miał dziurę w dachu, przez którą ktoś spróbował go trafić, ale szczęśliwie chybił.

Applejack jęknęła zrezygnowana. Dusił się w niej ambicje, honor i poczucie klęski. Wszystko od początku szło nie tak i nie mieli szans zdobyć tego domku. Granaty nie wchodziły w grę, gdyż mogły załatwić przypadkiem drugie dziecko. Szyk się rozsypał, żołnierze nieśmiało strzelali po ścianach i tylko marnowali amunicję. Jedynie Corrie chyba kogoś trafiła, gdyż usłyszeli od strony Diektariewa krzyk, przekleństwo po Sombryjsku i karabin zamilkł. Jednak pepeszka nadal grała i nie pozwalała rozwinąć się drużynie.

Popatrzyła w oczy dziewczynce. Zawiodła. Nie odzyskała jej siostry, być może skazując ją na makabryczną śmierć. Nie mogła jednak już dłużej ryzykować. W końcu ci dookoła to też były dzieci, tylko trochę starsze i silniejsze. Może coś tam przysięgały, nieświadome konsekwencji. Może wierzyły w wyższą sprawę. Ale to nadal dzieci we mgle, w zbyt dużych mundurach i z przeciężkami karabinami.

- Odwrót! Odwrót! – zarządziła, a dziewczynka chlipnęła. Nic nie powiedziała, tylko zapłakała, zdawszy sobie sprawę z tego, co się dzieje.

Applejack chciała być dzielna. Chciała osłonić małą przed wrogiem i złem. Była w końcu taka doświadczona, dorosła, silna i zwinna! A teraz uciekała z podkulonym ogonem, zostawiając za plecami dwie niedokończone sprawy. Dwie klęski.

Pobiegli w kierunku, skąd przyszli, ścigani przez Mosiny. Na szczęście, nikt nie został trafiony.

*

Była ich piątka i doskonale wiedzieli, że Equestria wysłała za nimi co najmniej z tuzin żołdatów. Głupio dali się zauważyć i teraz cierpieli, uciekając niczym królik przed rysiem. W każdej chwili mogli usłyszeć huk za swoimi plecami i ujrzeć fontannę krwi, tryskającą z głowy któregoś z nich. Co gorsza, do własnych linii było jeszcze tak daleko. Początkowo uznali drogę przez las za chytry plan, gdyż w lesie łatwiej się ukryć i trudniej o przypadkowe spotkanie z kulą. Jednak to znacznie wydłużyło ich podróż.

Wywodzili się z różnych jednostek i formacji, które po „czarnej osiemnastce”, jak ochrzczono listopady dzień, w którym całe lokalne Luftmare zważyło im się na głowy, zostały zbite w jakąś prowizoryczną grupę bojową. Spieszeni czołgiści i oczekujący przydziału załoganci dział samobieżnych.

- Mówiłem... – wydyszał jedyny wśród nich jednorożec, który jakimś cudem przeżył wielką czystkę sprzed trzech lat. – żeby założyć siatki maskujące. „Nie! Będą ruchy krępować”. I co? Teraz tacy swobodni jesteście, do króćset?!

- Zwierzoboj, zamknij się! – syknął wysoki jak koń, długowłose Azbestczenko i dalej kłusował po twardym śniegu, na którym nie zostawały żadne ślady. To była kolejna sztuczka wymyślona przez jednorożca, tak samo jak małe czary, które zakrywały śniegiem incydentalnie powstałe odciski.

- A może nie mam racji?

- Durak z ciebie i tyle – odpowiedziała mu klacz, którą Azbest notorycznie próbował podrywać i to pomimo, że nie zrzuciła jeszcze żałoby po swym poległym mężu. – A teraz

zawrzyj usta, bo jak nas znajdą, to rojalistyczny politruk wyssie z ciebie ostatnie słówko, które schowasz na samym końcu ogona.

Nienawidziła rojalistów i tych dwóch alicornich mutantów, które nimi rządziły. Na każdą myśl o księżniczkach doznawała wymiotów i widziała zmasakrowane ciało własnego męża, brutalnie zabitego przez któregoś z tęczowych lotników. Obiecała sobie, że nie spocznie, póki nie zatopi sztychu bagnetu w piersi jednej i drugiej, a także każdego kucyka, który stanie jej na drodze. Nie obawiała się wrogiej magii, skrzydeł ani tajemniczych stworzeń, które mogły służyć pod księżniczkami. Nie obawiał się nawet długowłosej czarownicy, słynnej generał Twilight Sparkle, o której chodziły słuchy, że wysysa krew innych jednoroźców i tak przejmując ich moc, sama stając się coraz potężniejsza. Jej ogon liczył sobie dwa metry, gdyż sztucznie wydłużyła go sobie włosami obciętymi więźniom. Co więcej, w swoim sztabie miała tresowanego smoka, gotowego poszczuć na krnąbrnych podwładnych. Słyszała relację, jakoby jeden dezertier opowiadał, jak na własne oczy widział taką egzekucję. Smok był tak ogromny, że połknął trzech żołnierzy na jeden raz!

Go też zabije, jeśli spróbuje bronić księżniczek. Smok, hydra lub nawet jakiś demon nie mogły jej powstrzymać! Teraz jednak zatrzymała siebie i cały oddział. Gestem nakazała im się położyć w śniegu, a sama wysunęła głowę zza drzewa i zmrużyła oczy, przyglądając się przeszkodzie.

Drzewa rozrzedzały się i odsłaniały niedużą chatkę w stanie agonalnym. Przygięta do ziemi półziemianka z dobudowanym parterem, zawalony częściowo dach i rozpadające się ściany nie budziły zaufania, szczególnie, że kawałek narożnika po prostu brakowało i dało się wejść od tej strony do środka. Obok była jeszcze bardziej rozłożona przez czas szopa, spod śniegu wзираł mech i straszyl przejezdnych.

- Krasawica! – szepnął do niej Azbest. – Tam coś jest!

Wskazał na wnętrze pomieszczenia, gdzie mignął drobny kształt. Kobieta będąca matką od razu poznała, z kim mają do czynienia.

- Dzieci! Musimy do nich pójść!

- Czemu? – zapytał milczący dotąd Żozief Kotin, który zazwyczaj tryskał humorem, ale ta misja skutecznie zepsuła mu nastrój. – Uciekamy cały dzień! Nudzę się! Idźmy już do siebie!

- Nie! – powiedziała twardo Krasawica. – Nie chciałabym, aby moje dzieci były same w lesie, otoczone przez krwiożerczych Equestriańczyków. Idę tam, choćbyście mieli mnie zastrzelić!

W jej głosie rozbrzmiewała absolutna nieugiętość, więc cztery ogiery mogły tylko kiwnąć głową. Pomimo, że to Azbest był jedynym sierżantem w ekipie, to ona została przez oficera namaszczona na dowódcę patrolu i musiał się jej słuchać. Ostrożnie, z pepeszą przy oku zaczęła zbliżać się do chatki. Oni powyciągali Mosiny i szperali nimi po oknach domku i okolicznych drzewkach, gotowi do natychmiastowej reakcji, jak tylko coś im mignie przed oczami.

Krasawicy serce szalało w sposób bardzo poetycki, ale równocześnie nie mogła równo celować. Poruszanie się na trzech nogach i próba utrzymania przed sobą ciężkiego pistoletu maszynowego była bezsensowna, więc mogła tylko liczyć, że w chatce faktycznie skryły się jakieś zagubione dzieci, a nie jest to podstęp rojalistów. Słyszała, że w czasie oblężenia Fillydelphi zjadali własne żrebięta, aby pokazać Armii Czerwonej, że nie cofną się przed niczym,

aby zniechęcić Sombre przed wyzwoleniem Equestrii. Tak, oni byli zdolni to największych bezceństw i plugastw. Gwałty i egzekucje jeńców były na porządku dziennym.

Szła najciszej, jak umiała. Powoli stawiała kroki, zapadając się w puszysty tutaj śnieg. Była lekka, więc nie skrzypiała zbyt głośno i miała szansę zaskoczyć mieszkańców leśniczówki czy co to niegdyś było. Znalazła się przy dziurawej ścianie i zajrzała do środka. Wnętrze przedstawiało istny obraz nędzy i rozpaczy, jakby ktoś chciał w środku nakręcić film o nawiedzonym domku w środku lasu i samotnych dzieciach. Każdy element był na żywca wyjęty z takiej taniej scenografii. Śnieg na środku podłogi, pod dziurą w dachu. Połamane resztki mebli. Poprzekrzywiane obrazy na ścianach, a także zgniłe strąki dywanu zwiniętego pod ścianą mogły obrzydzić każdego, ale nie tego, kto trzymał na własnych kopytach zniszczone zwłoki ukochanej osoby. Dlatego bez wahania wspięła się do środka...

... i ujrzała parę olbrzymich, przerażonych oczu w kolorze granatu. Które miały niesamowite, kanciaste refleksy! Klacz cofnęła się o krok i ujrzała całą postać. Małą dziewczynkę, bez rogu i bez skrzydeł, ale o spektakularnie błyszczącym na zielono ciele i włosach. Na znaczku miała fragment blankowanego muru.

- Kryształowy kucyk! – szepnęła zaskoczona i spróbowała uśmiechnąć się do niej. – Jak się nazywasz?

Dziewczynka pokręciła głową. No tak, nie rozumiała po sombryjsku. Klacz użyła zatem innego słowa, które we wszystkich językach świata brzmiało tak samo:

- Mamuszka?

Dziecko spojrzało na nią dziwnie i odpowiedziało coś, co miało w sobie ichnią „mamę” i słowo brzmiące jak przeczenie. Jakby chciała powiedzieć „nie jesteś moją mama”, albo „ja nie mam mamy”.

Sombrianka zamachała kopytem, a z ukryć powychodzili żołnierze, a dziewczynka zapiszczała ze strachu. Krasawica zamruczała kojąco, ale jedyny efekt, jaki uzyskała, to roztrzęsienie dziecka. Weszła do środka i przyklękła przy dziecku mrużąc oczy.

- Nie bój się, proszę, nie bój się – powiedziała delikatnie. Miała nadzieję, że chociaż tembrem głosu uda jej się przekonać maleństwo do siebie.

- O kurde! Kryształowy kucyk! To one istnieją? – zapytał Żozief, odgarniając zieloną grzywę znad piegowanego czoła.

- Cicho! Przestraszysz ją! – syknęła Krasawica. – Wejdźcie i rozstawcie się! Ktoś z was zna equestriański?

- No ja – powiedział biały ogier z zieloną grzywą i również położył się obok dziecka. – Co jej powiedzieć?

- Żeby się mnie nie bała.

Żozief przetłumaczył, a dziewczynka popatrzyła na niego niespodziewanie hardo i zapytała:

- Wy jesteście ci dobrzy, czy ci źli? Co?

Po usłyszeniu translacji klacz zająknęła się. Nie spodziewała się czegoś takiego.

- Powiedz... że... będziemy ją chronić przed potworami z Equestrii. Że chcemy ją uratować.

Dziewczynka chyba im nie uwierzyła, o czym świadczyła kolejna kwestia:

- Mną opiekuje się księżniczka Cadance! Ona nie pozwoli mnie skrzywdzić! Jesteście od

księżniczki?

Jak jej powiedzieć „nie”? – zastanowiła się kłacz.

- Jesteśmy po to, aby was wyzwolić i chronić.

To musiało choć trochę przekonać dziewczynkę, gdyż zdobyła się nawet na coś jakby lekki uśmiech. Krasawica miała nadzieję, że zdobyła jej zaufanie, szczególnie, że na to zasługiwali. Piątka krzepkich kuców z bronią i w dumnych, żółtozielonych mundurach z białymi pałatkami musiała wyglądać godnie. Czerwone rogi namalowane na hełmach, patki w różnych magentowych, czerwonych i purpurowych odcieniach. To przecież było najpiękniejsze wojsko świata, a dzieci lubiły wojsko. Te wszystkie żrebaki zapatrzone w rycerzy i żołnierzy... czemu kryształowy kucyk tego nie rozumiał?

Rebiata siedzieli przy oknach i patrzyli, co się dzieje dookoła. Wszyscy jednak zezowali na dziewczynkę, nie mogąc napatrzeć się na taki cud natury. Kryształowe kucyki w Sombrii istniały jedynie pod postacią półzapomnianych legend, więc spotkanie się oko w oko z jednym z nich zrobiło na nich większe wrażenie, niż te wszystkie czołgi i inne militarne cuda. Wiedzieli, że nazwa „Kryształowe Imperium” pochodzi od aparycji ich mieszkańców a także surowców, które się tutaj wydobywało, ale nie sądzili, że określenie „kryształowy należy traktować tak dosłownie. Myśleli, że chodzi bardziej o zamek w mieście. Jak się stało w odpowiednim miejscu, to na horyzoncie było widać wysoką, lśniąca w słońcu iglicę kryształowego pałacu, którą rozmyślało pole ochronne, o którym meldowali lotnicy. Ponoć miał na front przybyć potężny mag, który przełamie czar, ale póki co musieli obcy się smakiem. Bombardowanie miasta musiało poczekać.

- Widzieliście moją siostrę? Przyszłam tutaj sprawdzić, czy rodzice wrócili. I nie wrócili.

- Nie widzieliśmy, ale poszukamy.

- Chyba tam jest! – szepnął Azbest, przytulając się do kolby Diektariewa zamontowanego w oknie. Krasawica poderwała się i spojrzała zza jego pleców.

Na przeciwległym krańcu polanki, pomiędzy drzewami poruszały się eteryczne cienie w białym maskowaniu. Spomiędzy fałd okrycia błyszczała jeszcze jedna malutka, kryształowa mordka, o łatwym do domyślenia się pokrewieństwie.

Jeden z duchów miał hełm z kryzą. Tak boleśnie charakterystyczny, tak okropnie żądający w serce!

- Rojaliści! – szepnęła. – Przygotować się! Na mój znak przywitajcie ich ołowiem!

- Tak toczna! – odpowiedział jej Azbestczenko i odbezpieczył erkaem. W tej chwili przed szereg wyszedł jeden z duchów, a pozostałe nieco się rozmyły.

- Ogon! – powiedziała Krasawica i zaklekotał Diektariewa, wypluwając ogień z długiego gwizdka na końcu lufy. Equestriańczyk padł w śnieg, a z tyłu zapanowało poruszenie. Usłyszeli dalekie komendy wydawane przez jakąś kobietę, a po paru sekundach ktoś odpowiedział im swoim cekaemem. Dźwięk jakby dartej blachy wskazywał, że to była słynna „maszynka do mięsa”, czyli niekucowo szybkostrzelny karabin maszynowy. Ogień był jednak niecelny i poszedł po ścianie w miejscu, gdzie nikogo nie było. Kilka pocisków przebiło się przez kłody, z których zbudowano dom, ale obyło się bez trafień.

Zastukały Mosiny, a nawet Krasawica wystrzeliła parę serii w miejsce, gdzie wydawało się, że ktoś jest, a przynajmniej śnieg ma inny kolor. Wychylała się zza winka i obserwowała otoczenie, ale pośród oblepionych śniegiem drzew rojaliści łatwo mogli się ukryć.

- Tam! Leci jeden! – wrzasnął Zwierzoboj i przysiadł na zadzie, aby móc wzniesć broń wysoko w górę. Wypalił, a potem poprawił. Kłacz podążyła jego śladem i opróżniła magazynek do połowy, próbując trafić pegaza o czarnym ogonie. Niestety, ptaszek umknął nie otrzymawszy żadnej kuli. Zakłęła i wróciła do Azbesta, który nieco na oślep siał po drzewach, nieubłaganie zbliżając się do końca magazynka.

- KURWA! – ryknął Azbest, kiedy broń kliknęła i przestała współpracować. Długonogi ogier schylił się, aby z juków wyjąć drugi. Wtedy świsnęła kula i wbiła się w przeciwległą ścianę, idealnie tam, gdzie przed chwilą był ciemnowłosy chłopak. Azbestczenko zajęczał i padł na ziemię, przez chwilę próbując ogarnąć, jak blisko był stanu ostatecznego. Krasawica chciała go kopniakiem poderwać do walki, ale wtedy usłyszała pisk dziecka:

- Tam jest moja siostrzyczka! Uwolnijcie ją! Proszę!

- Walić! – krzyknęła w odpowiedzi Sombrianka, domyślając się o co chodzi. Sama zaczęła siać po lesie. Chciała rzucić granat we wrogi cekaem, który wciąż nie pozwalał nikomu z nich się wychylić i dobrze wycelować, ale bała się, że odłamki zabiją dziecko.

Nagle maszynka do mięsa sama ucichła, usłyszeli komendę i kanonada ze strony lasu znikła, jakby nigdy jej nie było. Chłopaki dalej strzelali w rzednące, białe cienie, aż kazała im przestać, aby nie wyprztykali się do cna z amunicji.

Żyli.

Wszyscy.

Bez ran

- Haraszo... – opadła na ziemię obok dziewczynki, w której oczach zabłyszczały łzy.

- Moja...

- Nie udało nam się – odpowiedziała zrezygnowana Krasawica, lekceważąc, czy dziecko ją zrozumie, czy nie. Było jej tak głupio. Zawiodła wszystkich. Siebie, małą, a także oddział. Naraziła ich na śmierć i nic dobrego z tego nie wynikło. To było kretyńskie, pakować się do tej chatki i stawać w szranki z nierozpoznanym patrolem wroga. Mogli zaprzepaścić ważną misję, wystarczyłby jeden dobrze rzucony granat przez rojalistów.

- Więcej szczęście, niż rozumu – szepnęła do siebie, wstała i zarządziła wymarsz.

- A co z nią? – spytał Zwierzoboj, poprawiając odruchowo ciemnopomarańczową grzywę.

Spojrzeli na zagubioną dziewczynkę, która z perspektywy wysokich, dorosłych kuców wydała się teraz delikatną kruszynką.

- Idzie z nami. Tamci mogą po nią wrócić.